

665

teatr

Klasowo cenny sojusznik

Andrzej Wróblewski

Kiedy kurtyna się podnosi — jesteśmy już właściwie in medias res. „Nie-boska Komedia” Lidii Zamkow rozpoczyna się od trzeciej części. Środek sceny wypełnia rewolucyjny tłum, udający rozpasanie; odprawia właśnie grzeczne taneczki przy dźwiękach karmanioli, czy czegoś podobnego. Tu i ówdzie wyrwa się z niego jakaś postać: lokaj we współczesnym fraku, włączonym na gołe ciało, to znów chłopak stajenny, który wrzucił na siebie stylowy kostium swego pana z czasów Ludwika XIV, albo chłop w krakowskiej sukmanie, jakby z „Wesela” wyjęty, tyle, że sukmana mocno już sfatygowana, jakby jej właściciel brał udział nie tylko w Insurekcji Kościuszkowskiej, lecz również w rabacji Szeli.

Trudno właściwie rozeznaczyć się w tej kotłownianinie. Nie wiadomo, ile w tym serio, ile zaś jarmaczego kiczu z popisami silaczy. Owszem, jest kilka punktów stałych: oto „Kobieta wolna” w gorsecie na koszuli, jakby dopiero co została „wyzwolona” z „Pensjonatu pani Tellier” Maupasanta; niedaleko niej rozpoznajemy generała Branchettiego we współczesnym kепi z kolonialną pelerynką, jakby dopiero co wrócił z wyprawy tunezyjskiej.

Wszystko to jednak tylko „jakby”. Nic na pewno. Pomieszane czasy, style, stroje. Jakby (znów!) reżyser chciał wyrwać ten proces z epoki, nadać mu wymiar uniwersalny, uczynić z niego sprawę ponadczasową, dziejącą się wszędzie i zawsze. Ten proces ogarnia rewolucję w szerokim zasięgu, nie pomija nawet takich jej współczesnych zjawisk, jak ruch „womens liberation”; właśnie jedna pani rozebrała się do naga i błysnęła na chwilę bielą swego ciała. Żebyśmy nie mieli wątpliwości, że „Nie-boska” cośkolwiek pomija, czy też, że należy ją odesłać do historii.

Nieważny natomiast jest ślub, małżeństwo, życie rodzinne Hrabiego Henryka (Edmund Fetting). To wszystko ma Hrabia z głowy. Również rozterki duchowe i miłosne między małżeńską powinnością a kuszeniem Dziewicy. Zresztą żadnej Dziewicy nie ma, poezja nie woła, nie ma również głosów ani anielskich, ani diabelskich. Mąż nie rzuca domu, za nikim nie idzie. Nie ma romantycznych zwątpień.

Ale to uwagi na marginesie. Po co mówić o tym, czego nie ma? Bo to, co oglądamy, to ciągle ludowa zabawa maskowa z odkrytymi twarzami. Ukazuje się Hrabia Henryk. Nie stara się ukryć swojej tożsamości, chociaż wyglądem zwraca na siebie u-

wagę, wyraźnie odcina się od barwnego tłumy w swoim czarnym tużurku, jak w mundurze konspiratora. Trafił do obozu rewolucjonistów bez przewodnika. Spotyka go już na miejscu. Przechrzta niczym się właściwie od niego nie różni, nosi podobny czarny tużurek i wygląda, jak młody Jaurès, czy Leon Blum. Po co został wprowadzony? — Bóg jeden wie. Chyba po to, żeby nie zarzucono reżyserowi, że skreślił ten motyw, chyba jednak istotny dla ilustracji poglądów Hrabiego. Z rozmowy z Przechrzta nie jednak nie wynika. Ani śladu owej niechęci, czy wręcz odrazy do tych, którzy — zdaniem Hrabiego — są siewcami rewolucyjnego rozkładu. Widocznie i to mu zobojętniało.

Bo jedyne, co go jeszcze interesuje, to sprawa rewolucji. Ale ona już się stała. Ponieważ wszystko, co widzimy na scenie jest „realistyczne”, odarte z wszelkiej poezji i „mistyki” należy rozumieć, że mówi się do nas w czasie przeszłym. Ze istota sprawy — konfrontacja postaw Hrabiego Henryka i Pankracego (Leszek Herdegen) — polegać będzie na ocenie wydarzeń, które się dokonały. Nie ma co ukrywać wyniosłości wobec motłochu. Chociaż trudno również tańcować pogardę do swoich, do mieszkańców Okopów św. Trójcy, w sumie dość nędzne to typy, tchórzliwe i oportunistyczne. Ale to jednak co innego, to ludzie z towarzystwa.

O cóż więc idzie w tym przedstawieniu? Odarty z poetyckich rozterek jawi się Hrabia Henryk, jako dość ograniczony przedstawiciel klasy. Może się wydać paradoksem, ale w takim ujęciu Hrabia wydaje się bardziej, niż kiedykolwiek wierny pamięci i poglądom ojca poety, wątpliwej sławy generała Wincentego Krasińskiego, który Powstanie Listopadowe (a ono inspirowało „Nie-boską”) uważał za groźny rozruch międzynarodowy, odmawiając mu cech zrywu narodowego.

No tak, ale Krasiński stworzył dzieło, w którym przedstawił bohatera skłóconego z rzeczywistością zarówno w poezji, jak w rodzinie, jak wreszcie w życiu publicznym. Hrabia Henryk nie może się zmieścić w starym porządku i nie umie znaleźć porozumienia z nowym, który — przeczuwa — nieuchronnie nadciąga. Na tym polega intelektualna przenikliwość Krasińskiego, nowoczesność ujęcia problematyki społecznej i ranga dzieła.

Tego wszystkiego daremnie szukać w przedstawieniu. Gorzej, bo nawet ograniczone do dyskusji o rewolucji, do owej konfrontacji między Hrabia, a Pankracym — nie potrafi wzbudzić w nas najmniejszego zainteresowania. Tajemnicą reżysera pozostaną powody, dla których Pankracy chce pozyskać, czy uratować Hrabiego dla rewolucji. Zapowiedź zdrady, czy tylko odchylenie ideologiczne?

Na tej samej scenie Teatru Powszechnego słuchaliśmy już nieporównanie bardziej namiętnych sporów na temat rewolucji. Odległe jej echa nie są zdolne nas zainteresować, jeśli nadto zostały wypatroszone z tego wszystkiego, co stanowi o oryginalności i doniosłości dzieła i myśli Krasińskiego. Tej oryginalności nie podtrzyma procesja z feretronami, na której widok Pankracy woła „Galliae vicisti”.

„Nie-boska Komedia” Zygmunta Krasińskiego w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Reżyseria: Lidia Zamkow, scenografia: Andrzej Sadowski, Premiera 25 stycznia 1976 r.



Kiedy kutyna się podnosi — jesteśmy już właściwie in medias res. „Nie-boska Komedia” Lidii Zamkow rozpoczyna się od trzeciej części. Środek sceny wypełnia rewolucyjny tłum, udający rozpasanie; odprawia właśnie grzeczne taneczki przy dźwiękach karmanioli, czy czegoś podobnego. Tu i ówdzie wyrwa się z niego jakaś postać: lokaj we współczesnym fraku, włożonym na gołe ciało, to znów chłopak stajenny, który wrzucił na siebie stylowy kostium swego pana z czasów Ludwika XIV, albo chłop w krakowskiej sukmanie, jakby z „Wesela” wyjęty, tyle, że sukmana mocno już sfatygowana, jakby jej właściciel brał udział nie tylko w Insurekcji Kościuszkowskiej, lecz również w rabacji Szeli.

Trudno właściwie rozeznać się w tej kotłownianinie. Nie wiadomo, ile w tym serio, ile zaś jarmacznego kiczu z popisami siłaczy. Owszem, jest kilka punktów stałych: oto „Kobieta wolna” w gorsecie na koszuli, jakby dopiero co została „wyzwolona” z „Pensjonatu pani Tellier” Mauoasanta; niedaleko niej rozpoznajemy generała Branchettiego we współczesnym kepi z kolonialną pelerynką, jakby dopiero co wrócił z wyprawy tunezyjskiej.

Wszystko to jednak tylko „jakby”. Nic na pewno. Pomieszane czasy, style, stroje. Jakby (znów!) reżyser chciał wyrwać ten proces z epoki, nadać mu wymiar uniwersalny, uczynić z niego sprawę ponadczasową, dziejącą się wszędzie i zawsze. Ten proces ogarnia rewolucję w szerokim zasięgu, nie pomija nawet takich jej współczesnych zjawisk, jak ruch „womens liberation”; właśnie jedna pani rozebrała się do naga i błysnęła na chwilę bielą swego ciała. Żebyśmy nie mieli wątpliwości, że „Nie-boska” cośkolwiek pomija, czy też, że należy ją odesłać do historii.

Nieważny natomiast jest ślub, małżeństwo, życie rodzinne Hrabiego Henryka (Edmund Fetting). To wszystko ma Hrabia z głowy. Również rozterki duchowe i miłosne między małżeńską powinnością a kuszeniem Dziewicy. Zresztą żadnej Dziewicy nie ma, poezja nie woła, nie ma również głosów ani anielskich, ani diabelskich. Mąż nie rzuca domu, za nikim nie idzie. Nie ma romantycznych zwątpień.

Ale to uwagi na marginesie. Po co mówić o tym, czego nie ma? Bo to, co oglądamy, to ciągle ludowa zabawa maskowa z odkrytymi twarzami. Ukazuje się Hrabia Henryk. Nie stara się ukryć swojej tożsamości, chociaż wyglądem zwraca na siebie u-

Nie ma co ukrywać wyniosłości wobec motłochu. Chociaż trudno również tać pogardę do swoich, do mieszkających Okopów św. Trójcy, w sumie dość nędzne to typy, tchórzliwe i oportunistyczne. Ale to jednak co innego, to ludzie z towarzystwa.

O cóż więc idzie w tym przedstawieniu? Odarty z poetyckich rozterek jawi się Hrabia Henryk, jako dość ograniczony przedstawiciel klasy. Może się wydać paradoksem, ale w takim ujęciu Hrabia wydaje się bardziej, niż kiedykolwiek wierny pamięci i pogłębieniu ojca poety, wątpliwej sławy generała Wincentego Krasińskiego, który Powstanie Listopadowe (a ono inspirowało „Nie-boską”) uważał za groźny rozruch międzynarodowy, odmawiając mu cech zrywu narodowego.

No tak, ale Krasiński stworzył dzieło, w którym przedstawił bohatera skłóconego z rzeczywistością zarówno w poezji, jak w rodzinie, jak wreszcie w życiu publicznym. Hrabia Henryk nie może się zmieścić w starym porządku i nie umie znaleźć porozumienia z nowym, który — przeczuwa — nieuchronnie nadciąga. Na tym polega intelektualna przenikliwość Krasińskiego, nowoczesność ujęcia problematyki społecznej i ranga dzieła.

Tego wszystkiego daremnie szukać w przedstawieniu. Gorzej, bo nawet ograniczone do dyskusji o rewolucji, do owej konfrontacji między Hrabia, a Pankracym — nie potrafi wzbudzić w nas najmniejszego zainteresowania. Tajemnicą reżysera pozostaną powody, dla których Pankracy chce pozyskać, czy uratować Hrabiego dla rewolucji. Zapowiedź zdrady, czy tylko odchylenie ideologiczne?

Na tej samej scenie Teatru Powszechnego słuchaliśmy już nieporównanie bardziej namłętych sporów na temat rewolucji. Odległe jej echa nie są zdolne nas zainteresować, jeśli nadto zostały wypatroszone z tego wszystkiego, co stanowi o oryginalności i doniosłości dzieła i myśli Krasińskiego. Tej oryginalności nie podtrzyma procesja z feretronami, na której widok Pankracy woła „Galilae vicisti”.

„Nie-boska Komedia” Zygmunta Krasińskiego w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Reżyseria: Lidia Zamkow, scenografia: Andrzej Sadowski. Premiera 25 stycznia 1976 r.



„Nie-boska Komedia” w reż. Lidii Zamkow

Fot. Krzysztof Kuch